

JESTEM PODOBNY DO SPACEY'EGO,

PRZEZ PIERWSZE LATA ŻYCIA MIESZKAŁ NA DZISIEJSZEJ BIAŁORUSI. PRZED STUDIAMI Z KOLEGAMI Z KAPELI GRAŁ NA KILKU WESELACH I WIEJSKICH ZABAWACH. PRZYZNAJE, ŻE NIE LUBI SIĘ CHWALIĆ I DO DZISIAJ NIE WIE, DLACZEGO WYBRAŁ TEN ZAWÓD.

Z Leonem Charewiczem, aktorem, rozmawia Mateusz Przyborowski

— Muszę stwierdzić, że jest pan tajemniczą osobą.

— Dlaczego?

— Informacji na temat pańskiego życiorysu jest niewiele. Jedyne data i miejsce urodzenia, rok ukończenia studiów i debiutu w teatrze, nazwy teatrów, których był pan aktorem, i długa lista filmów, seriali i spektakli z pana udziałem. Wywiadów również mało pan udziela.

— No i chwała Bogu, bo dlaczego mam się chwalić? Życie prywatne to życie prywatne. I tyle.

— Rozbudujemy trochę pański życiorys w naszej rozmowie?

— Z góry panu mówię, że o moim życiu prywatnym nie powiem panu nic.

— Ale mi chodziło o życiorys zawodowy.

— A no, to chyba że tak.

— Zacznijmy od miejscowości, w której się pan urodził, czyli Michapi w Związku Radzieckim. Nie znalazłem żadnej informacji na jej temat.

— To jest błąd, nazwę tej miejscowości już kiedyś prostowałem. Michapi wpisano nam w dokumenty, kiedy przyjechaliśmy do Polski. Ta miejscowość nazywa się Michale, a raczej nazywała, bo już nie istnieje. To była mała wieś na dzisiejszej Białorusi, która leżała jakieś sto kilometrów na wschód od Wilna. Przed wojną to były kresy. Tam się urodziłem, a później w ramach repatriacji przyjechaliśmy z matką do Polski.

— A tata?

— Nie bardzo chciał przyjechać. Został, ale powiem panu, że odbyło się to bez bólu z mojej strony.

— Ktoś z pańskiej rodziny był aktorką lub aktorem?

— Nikt. Sam kilka razy zastanawiałem się, dlaczego wybrałem ten zawód. Nie mieszkałem w dzieciństwie i młodości w dużym mieście, a będąc w szkole, w teatrze byłem może ze dwa razy. Nie wiem, skąd to się wzięło, może po rodzicach? Matka mi opowiadała, że ojciec miał artystyczną duszę, ponieważ grywał na harmonii i był duszą towarzystwa. Mama natomiast



Fot. Małgorzata Hueckel/Teatr Współczesny w Warszawie

Leon Charewicz jako Victor Fleming w spektaklu „Księżyc i magnolie” w Teatrze Współczesnym w Warszawie



ALE PYTANIE BRZMI: NO I CO TEGO?

Leon Charewicz urodził się w 1951 roku. Ukończył Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi (1974). Od 1997 roku jest aktorem Teatru Współczesnego w Warszawie. Wystąpił w filmach, m.in. „Kingsajz”, „Katyń”, i serialach, m.in. „Matki, żony i kochanki”, „Oficer”, „Graczykowie”. Jest także aktorem dubbingowym.

nie miała żadnych zainteresowań w tym kierunku.

— **Myślałem, że o tym, żeby zostać aktorem, pomyślał pan — jak większość aktorów — na lekcji polskiego albo po którejś ze szkolnych akademii.**

— Nie udzielałem się specjalnie na akademiach, nie recytowałem też wierszy. Jedyne co, to z kolegami ze szkoły założyliśmy zespół muzyczny. Czasami na akademiach śpiewaliśmy okolicznościowe piosenki. Z czasem zaczęliśmy grać na weselach i wiejskich imprezach.

— **Był pan wokalistą?**

— Między innymi. Grałem też na gitarze i perkusji. To nasze granie trwało ze dwa, trzy lata.

— **Byliście rozchwytywani?**

— Nie aż tak bardzo. Kilka wesel, a latem zabawy w remizach. Było zabawnie. Goście się bili, taka była tradycja. A później zdawałem do szkoły teatralnej w Łodzi. Nie dostałem się za pierwszym razem.

— **Dlaczego?**

— Seplenilem.

— **I to był jedyny powód pańskiego nieprzyjęcia na studia?**

— Innych problemów nie było żadnych. Za drugim podejściem pani profesor Wojutycka od dykcji powiedziała, że przyjmie mnie na własną odpowiedzialność i wyciągnie mnie z tego seplenienia. Bardzo się przyłożyłem przez pierwszy rok, codziennie miałem ćwiczenia z trzymanym między zębami korkiem od wina. Na czwartym roku otrzymałem jedną z najwyższych ocen za dykcję. Wysilek był jednak ogromny, po pierwszym roku miałem poprawkę komisyjną z tej dykcji.

— **Co pan robił przez rok, kiedy nie dostał się na studia?**

— Pojechałem do Jeleniej Góry. Zapisalem się do dwuletniego studium nauczycielskiego na język rosyjski. Urodziłem się i przez sześć lat mieszkalem w ZSRR, więc nigdy nie miałem z tym językiem problemów. Później zrobiłem praktyki. Ciągnęło mnie jednak do szkoły aktorskiej. Pewnego razu do naszego studium przyszedł

aktor teatru jeleniogórskiego i zaangażował nas do bajki „Dzikie łabędzie”. Graliśmy spektakl w zawodowym teatrze, jeździliśmy z nim po okolicy. Wstąpiłem też do kółka dramatycznego. A później wróciłem do Łodzi na egzamin.

— **Nikomiu nie przeszkadzało, że pan sepleniał?**

— To nie była aż tak duża wada, ale teraz sobie uświadamiam, że mogła przeszkadzać. Dzisiaj natomiast, jeśli pooglądamy telewizję, to można odnieść wrażenie, że seplenienie nikomu nie przeszkadza.

— **Z kim pan był na roku?**

— Z Mariuszem Benoit, Markiem Frąckowiakiem, Krzyszkiem Janczarem, Baśką Dziekan, Halinką Rasiakówną, która do dzisiaj jest aktorką we Wrocławiu. Krzysiek Majchrzak był z nami przez dwa lata, później się przeniósł do Warszawy. Fajny mieliśmy rok. Rozpoczęło nas 23 osoby, skończyło siedemnaście.

— **Anna Szymańczyk, aktorka z Olsztyna, z którą niedawno rozmawiałem, mówiła, że kilka lat temu razem z nią na pierwszy rok do Akademii Teatralnej w Warszawie zdawało 800 osób. Przyjęto dwadzieścia.**

— Bo dzisiaj większość chce w serialach grać. To są główne marzenia: nie teatr, ale serial. Taki świat się zrobił i co zrobić?

— **W serialu też czasem dobrze zagrać.**

— Tak, ale nie przede wszystkim. Nie wiem, ale młodzi ludzie chyba mało rozumieją... Chcą szybko zarobić i być popularnym. Kiedyś nie było takich pragnień. Kiedy ja kończyłem studia, było wręcz odwrotnie. Tworzyły się grupy, które jechały na prowincję do Jeleniej Góry czy Płocka. Myślenie o teatrach bliżej Warszawy było dopiero po kilku latach.

— **Wkurza to pana czy jest panu przykro?**

— Przykro mi. Za moich czasów po teatrze chodziło się przy ścianach, kiedy korytarzem szedł starszy aktor, a już, nie daj Boże, z doświadczeniem i nazwiskiem. Dzisiaj wszystko spisało. Młodzi nie mają się do czego odnieść.

Nazwiska takie jak Łomnicki, Zapasiewicz, Holoubek nie znaczą. W teatrze również nie brakuje ambitnych ludzi, ale jest to jednak niewielki procent. Nie bardzo chce im się pójść do Koszalin czy Zielonej Góry. Gdzie tam! Wszyscy chcą być w Warszawie. I dlatego mamy kilkadziesiąt bezrobotnych osób, które tłuką się po różnych castingach do głupich reklam. Lepiej już nie będzie.

— **Myśli pan?**

— Tak, widzę to od czasu tej naszej tzw. wolności. Jakościowo wszystko idzie w dół, robi się nijako. No... Trochę pana zasmucam, prawda?

— **Więc się rozchmurzmy!**

Natknąłem się niedawno na zdjęcia rekwizytów, które zostały wykorzystane w filmie „Kingsajz”, w którym zagrał pan Gila, krasnala nadszyszkownika Kilkujadka, w którego rolę wcielił się Jerzy Stuhr. I zdjęcia tej starej willi przy ul. Wólcańskiej 17 w Łodzi, która posłużyła jako kraina krasnoludków Szuflandia. Te rekwizyty były wręcz imponujące!

— Dzisiaj są komputery i wystarczy, że aktor stanie w pomieszczeniu na zielonym tle. A w latach 80. te rekwizyty to była tak zwana chałupnicza robota. Zlew czy łyżeczka miały po kilka metrów wysokości, były większe od człowieka. Właśnie przypomniała mi się jeszcze wytwórnia filmów w Łodzi przy ul. Łąkowej i piękne hale, w których są dzisiaj jakieś magazyny...

— **Podczas kręcenia filmu „Kingsajz” mieszkał pan jeszcze w Łodzi?**

— Tak, ja po szkole pracowałem tam 15 lat. Najpierw, przez 5 lat w Teatrze Nowym u Dejmka, a później w Jaraczu. Dopiero później przeszedłem do Warszawy. Ci, którzy przyjeżdżają po raz pierwszy do Łodzi i na krótko, mówią, że to ohydne miasto. To nieprawda. Można polubić Łódź, jeśli się w niej dłużej pobędzie. Ma swoje klimaty.

— **Chciałby pan zagrać w thrillerze?**

— Pewnie, że tak. Każdy rodzaj filmu jest ciekawy. I komedia romantyczna,

i thriller, i kryminał. Może najmniej chciałbym zagrać w „Gwiezdnym wojnach”. Bo to wie pan, maskę panu założą i biega pan jak idiota. Widział pan film „Birdman”?

— **Tak. W 2015 roku zdobył Oscara w kategorii najlepszego filmu, a także statuetki za reżyserię, najlepszy scenariusz oryginalny i najlepsze zdjęcia.**

— Główny bohater tego filmu (obraz przedstawia historię aktora, który nigdy nie był gwiazdą filmów o superbohaterze, jego sława już przygasła, a on walczy, aby odzyskać dawną popularność — przyp. red.) chciał coś w końcu zrobić, zagrać coś naprawdę.

— **Zapytałem o tego dreszczowca, bo niektórzy telewizywiści chcieliby pana w nim zobaczyć. Tak piszą w internecie.**

— To nie ode mnie zależy, ale od reżyserów, scenarzystów i producentów. Dzisiaj główne założenie jest takie, że najpierw muszą zagrać gwiazdy, by film się sprzedał. Ludzie mają iść do kina i mniej istotnie jest to, czy film będzie dobrze zrobiony. Jak się uda, to fajnie, jak nie — też dobrze. Wszystko zrobiło się komercyjne. Reżyserzy filmów nie chodzą do teatrów, bo są leniwi i — jak w dowcipie — nie lubią przez dwie godziny być i oglądać aktorów w ogólnym planie. Przestałem już się tym przejmować. Jestem w teatrze i jest mi dobrze. Zagram w filmie, to dobrze, nie zagram, to też nie ma tragedii.

— **Skoro jesteśmy przy teatrze. W maju można pana obejrzeć w spektaklach: „Niepoprawni (Fantazy)”, „Najdroższy”, „Taniec albatrosa”, „Posprzątań” i „Hamlet”. Nie może pan narzekać na nudę.**

— Nie mogę i nie narzekam. Wcześniej, przez 10 lat jeździłem z Zapasiewiczem po Polsce z Czechowem, Kubusiem Fatalistą, „Ławeczką”. Zwiedziłem Polskę i było bardzo przyjemnie (śmiech). A teatr Jaracza w Łodzi to był świetny teatr! Dyrektorem był wtedy śp. Bogdan Hussakowski. Coraz mniej jest dzisiaj takich zespołowych teatrów. A nie da się zrobić teatru,

zbierając aktorów na chwilę. Trzeba znać ludzi, jest wtedy inna więź, która przekłada się na scenie.

— **To tak samo jak w przypadku piłkarzy.**

— No właśnie! Co z tego, że na boisko wybiegną gwiazdy, skoro nic się nie składa do kupy?

— **Od 1997 roku jest pan aktorem Teatru Współczesnego w Warszawie. Głęboko zarzucił pan kotwicę.**

— To jest, nie chwaląc się, jeden z ostatnich teatrów, w którym jest zespół. Dodatkowo świetnie prowadzony przez Macieja Englerta, który zna się na rzeczy. Dobrze mi tu i nie chcę niczego zmieniać. Zresztą gdzie i na co? Mógłbym do Słobodzianka pójść (Tadeusz Słobodzianek jest dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru Dramatycznego w Warszawie — przyp. red.). Nie mam jednak powodów, by się przeprowadzić.

— **Coś jeszcze chciałby pan dodać do swojego życiorysu?**

— Nie jestem zachłanny. Dzisiaj młodzi się promują i wiem, że tak trzeba. Ja zostałem jednak inaczej wychowany. Kiedyś poszedłem na bankiet na zakończenie jakiegoś serialu. Ścianka była ustawiona zaraz przy wejściu. Nie stanąłem do zdjęcia i usłyszałem pytanie ze zdziwieniem: Dlaczego?

— **Spojrzeni pewnie na pana jak na jakiegoś dinozaura.**

— Albo jak na idiotę, skoro nie chce być na ścianie. A po cholere mi ona? Co ona mi daje? Po co mam później czytać 90 proc. nieprawdziwych informacji o sobie? W portalach społecznościowych również mnie nie ma i nigdy mnie nie będzie. Jak mam do kogoś interes, to wezmę do ręki telefon i zadzwonię.

— **Ja do pańskiej biografii dodałbym jeszcze to, że niektórzy telewizywiści upatrują w panu Kevina Spacey'ego.**

— Słyszałem to od koleżanek i kolegów.

— **I co pan na to?**

— (śmiech) Spacey to świetny aktor. A podobieństwo? No i co z tego, że jestem do niego podobny?!